

**Alfred Brożek**  
**SKANUJĄC INDEKS**

*Motto:*

*Dyplom uczelni  
jest pisemnym potwierdzeniem,  
że miałeś w życiu okazję  
żeby się czegoś nauczyć*



24 października 1949r. o godzinie 8 wysłuchałem pierwszego wykładu mgr Alfreda Czarnoty z matematyki wyższej, której mieliśmy 6 godzin tygodniowo przez I i II semestr. Był to bardzo dobry wykładowca, którego słuchało się z przyjemnością. Z przyjemnością też zaliczyłem ten przedmiot w terminie i z wynikiem dobrym. Dodatkowym ułatwieniem był fakt, że połowę materiału z pierwszego semestru (pierwsza pochodna, druga pochodna i początki rachunku różniczkowego) przerabialiśmy w drugiej klasie liceum im. Mikołaja Kopernika w Katowicach w drugim półroczu, tak że miałem na początek komfortową powtórkę materiału.

Kiedy zaglądam teraz w indeks, noszący wówczas nazwę „WYKAZ STUDIÓW”, stają mi przed oczami wszyscy wykładowcy, tytułowani przez kurtuazję „profesorami”, i jak to w tej piosence „przed wzruszeniem trudno się obronić”. W odróżnieniu bowiem stosunków w istniejących od dawna tradycyjnych wyższych uczelni, (spec od reklamy proszków piorących użyłby kreślenia „zwyczajne uczelnie”), nasza WSI była uczelnią niezwykłą, rzekłbym nawet niezwykłą, charakteryzującą się bardzo emocjonalną bliskością i brakiem sztywnego dystansu pomiędzy personelem dydaktycznym i administracyjnym a nami studentami.



Zapewne wynikało to częściowo z faktu, że większość wykładowców pochodziła bądź ze szkół średnich, jak np. wykładowca fizyki mgr Antoni Pietraniec, bądź z przemysłu jak choćby rektor dr inż. Jerzy Kołakowski, wykładowca technologii metali mgr inż. Wacław Sakwa i wykładowca mechaniki płynów oraz elektrotechniki ogólnej mgr inż. Stanisław Maria Makan. Z tym ostatnim spotkałem się ponownie po wielu latach, w Kombinacie Górniczo-

Energetycznym Turów w budowie, kiedy został dyrektorem pionu Budowy Kopalni w którym pracowałem od 1959 roku jako inspektor nadzoru robót inwestycyjnych.

Prof. Makan zaimponował mi, kiedy po objęciu wykładów z elektrotechniki ogólnej opowiedział wszem i wobec, że jako były pracownik Dyrekcji Poczty i Telegrafów niewiele już pamięta z elektrotechniki i dlatego odwiedził swojego byłego profesora ze Lwowa, a obecnie kierownika katedry elektrotechniki przy Politechnice Śląskiej w Gliwicach, prof. Fryzego i wypożyczył od niego skrypt wykładów. Nas studentów natomiast poprosił o wyrozumiałość i współpracę przy wyprowadzaniu dowodów na omawiane zjawiska teoretyczne. Zaliczyłem elektrotechnikę w piątym semestrze na dobrze, zaś laboratorium z elektrotechniki w szóstym semestrze na bardzo dobrze.

Prof. Antoni Pietraniec, były nauczyciel gimnazjum żeńskiego o famie babiarza nie mógł się pozbyć przyzwyczajenia belfra szkoły średniej i urządził na ćwiczeniach co jakiś czas regularne "klasówki", z których otrzymywałem oczywiście oceny niedostateczne. Z tego powodu wezwał mnie do siebie i zapytał, dlaczego się nie przykładam do nauki i jak sobie wyobrażam zaliczenie przedmiotu. Odpowiedziałem mu na to, że to są studia wyższe a nie szkółka średnia, gdzie obowiązuje uczenie się z lekcji na lekcję. Przyjdzie czas, to przysiądę fałdów i przyswoję sobie wiedzę niezbędną do zdania egzaminu, co skwitował sceptycznym „zobaczymy”. Nie zapomniał widać tego, bo nie poprzestał na trzech (wówczas regulaminowych) pytaniach, tylko drażył i drażył żeby mnie czymś złapać. W końcu włączył na optykę i kazał rysować różne przypadki powstawania obrazów. Kiedy i to wykonałem, a on zastanawiał się o co by tu jeszcze zapytać, ubiegłem go i oświadczyłem, że znam jeszcze taką sytuację, aby soczewka wklęsła wytworzyła obraz rzeczywisty. Wielce się zdziwił jak mu to narysowałem i zapytał skąd to wiem i – po usłyszeniu, że od prof. Waldemara Zillingera z liceum im. Kopernika – postawił z łaski czwórki!

Geometrii wykresłej wykładał bardzo skrupulatnie prof. Antoni Mieczysławski, starszy pan o dość słabym głosie. Kiedy pewnego razu połowa sali nie dosłyszała co mówi i poprosiła chórem: „głośniej!”, tenże przyłożył rękę do ucha i powiedział: „co, nie słyhać? to zapalcie światło!”, co wywołało salwę śmiechu.

Na odnotowanie zasługują też lektorzy języków obcych. Języka rosyjskiego wykładał mgr Leon Bojm, prowadzący własną kancelarię adwokacką, będąc jednocześnie członkiem miejskich władz partyjnych PZPR. Kazał nam kupić krótki kurs Historii Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików) w języku rosyjskim i w oparciu o jej tekst przystąpił do uczenia nas słówek, wymowy, ortografii i gramatyki. Przez cały semestr wałkowaliśmy „wwiedenje”, czyli dwustronicowy wstęp, aż wbił się cały w pamięć. Odkryłem, że w księgarni dostępna jest też polska wersja tego „dzieła”, tak że z tłumaczeniem tekstu nie było już problemu.



Co my tam mamy i jak to działa

Ten sam Leon Bojm wykładał jeszcze na III semestrze zasady marksizmu i leninizmu i wstyd się teraz przyznać, ale zdałem je na piątkę, odpowiadając prawomyślnie na pytanie o przyczyny wybuchu pierwszej wojny światowej.

O ile z językiem rosyjskim szło mi średnio, to za to z niemieckim, którego wykładał mgr Feliks Rankowski, nie miałem żadnych problemów i zaliczyłem go na piątkę.

Prof. Jerzy Kołakowski, to była klasa dla siebie. Najbardziej spodobało mi się jego zwięzłe określenie czterech warunków równowagi konstrukcji: 1. suma rzutów sił na os  $x = 0$ ; 2. suma rzutów sił na os  $y = 0$ ; 3. suma rzutów sił na os  $z = 0$ ; suma momentów sił  $= 0$ . Dodał do tego, że jeśli choć jeden z tych warunków nie zostanie spełniony, nasza konstrukcja się zawali, spocznie na ziemi i w ten sposób sama zadba o to, aby powyższym warunkom stało się zadość.

Kiedy pewnego razu kasjer PKP w Częstochowie odmówił nam sprzedaży biletów ulgowych 33%, jakie przysługiwały studentom, twierdząc że nasza uczelnia nie figuruje w wykazie szkół wyższych, pozwoliłem sobie na zaczepienie wchodzącego na wykład rektora Kołakowskiego i zreferowanie problemu biletów. Odrzekł na to krótko: „a co ja mogę za to, że kasjer idiota”. Następnym razem sprzedano nam bilety ulgowe bez zastrzeżeń.

U prof. Jana Grajcara szło mi z początku pod górkę – praktyczne zajęcia warsztatowe zaliczyłem na =3 (trzy na szynach), bo zadanie polegało na zmniejszenie wymiarów kostki 4?4 cm na 3?3 cm przy pomocy płaskiego pilnika, poczym powierzchnie musiały być równoległe z dokładnością bodajże 0,1 mm (jeśli nie 0,01 mm) mierzone czujnikiem, zaś płaskość wszystkich



Czterej Muszkieterowie

powierzchni kostki sprawdzana na płycie tuszerskiej musiała liczyć ileś tam punktów na  $\text{cm}^2$ . Makabra!!! Z tych zajęć warsztatowych została mi jedna fotografia, na której m.in. uwieczniona została nasza jedynaczka Marysia Głowacka. Z wykładanego przez Niego na II semestrze przedmiotu Przeróbka i Obróbka Metali zaliczyłem na trójkę, ponieważ był to dwugodzinny egzamin pisemny, w czasie którego można (i trzeba) było przepisać dosłownie treść jego wykładu dotyczącego danego tematu. A trzeba wiedzieć, że Prof. Grajcar nie prowadził wykładów w stylu akademickim, lecz dyktował swój wykład ze swojego zeszytu dość szybko, ale umożliwiając dosłowne notowanie jego treści.

Najlepsze oceny otrzymałem od prof. Grajcara jednakże w semestrze V i VI z Budowy i Eksploatacji Obrabiarek i Laboratorium Obrabiarek – same piątki, co zawdzięczałem m.in. pracy zawodowej w czasie urlopu dziekańskiego, o czym jeszcze napiszę.

Trzeba jeszcze wspomnieć o jeszcze przedmiocie „chemia w technice maszynowej”, wykładanego w II semestrze przez prof. dr inż. Józefę Jadźwińską. Była starsza, nobliwa Pani o dość słabym głosie, która w ogóle nie zwracała uwagę na to, ile studentów przysłuchiwało się jej wykładowi, byle było co najmniej pięciu słuchaczy. Jeżeli dobrze pamiętam, zapowiedziała termin kiedy asystent będzie zaliczał tzw. frekwencję i wtedy sala była oczywiście pełna. Natychmiast znalazła się grupka inicjatywna, która zapewniała stałą obecność co najmniej pięciu ochotników na każdym wykładzie, których obowiązkiem było skrupulatne zapisywanie jego treści. Nie wiem skąd wytrzasnęli nawet stenografkę. Każdy ze studentów otrzymywał co tydzień czytelny maszynopis wykładu, co wystarczyło mi na ocenę dostateczną.

Na drugim roku studiów w roku akademickim 1950/51 pracowałem za zgodą dziekana jako nauczyciel kontraktowy w Szkole Przemysłowej Państwowej Fabryki Okuć Budowlanych w Częstochowie, ucząc dzieci w klasach I – III przedmiotów technicznych (fizyka z maszynoznawstwem, chemii z materiałoznawstwem). Nie pamiętam już wysokości



Dyskusja po Wykładzie

wynagrodzenie za tę fuchę wiem tylko, że nie mogło przekraczać wysokości pobieranego stypendium wynoszącego zrazu 5.000.- starych złotych, podniesionego po kilku miesiącach do 7.000.- zł. Do tego dochodziła otrzymywana od rodziców pomoc w wysokości 10.000.- zł, tak że wystarczało mi na pokrycie kosztów wynajmu pokoju sublokatorskiego na ulicy Warszawskiej 9/4, wyżywienia, zakupu niezbędnych książek i węgla na opalanie pieca kaflowego oraz cotygodniowe przejazdy na trasie Katowice-Częstochowa. Tak zwane dwudaniowe obiady popularne w restauracji kosztowały 80.- zł, zaś trzydaniowe obiady klubowe 100.- zł. Po przeprowadzonej z nocy z soboty 29. na niedzielę 30. października 1950 roku wymianie pieniędzy w stosunku  $[:100 \times 3]$ , stypendium wynosiło na pierwszym roku 210.-zł a na drugim roku 240.-zł. Węgiel w worku musiałem sobie kupować, ponieważ właściciel mieszkania w ciągu tygodnia w ogóle nie opalał mieszkania. Jemu było zawsze ciepło, bo miał wysokie ciśnienie i żartował ze mnie, mówiąc że przecież do zera absolutnego jest jeszcze ponad 260 stopni!

Tak się złożyło, że te lekcje przypadły akurat w czasie wykładów z Teorii Maszyn Ciepłych, które prowadził prof. Antoni Semlitsch ściśle według książki prof. Stefana Stefanowskiego o tym samym tytule. Chodziłem natomiast na ćwiczenia, które nieco przybliżały mi ten przedmiot. Pamiętam, że chyba z początkiem czerwca odbył się egzamin pisemny, na którym były do rozwiązania zadania o różnym stopniu trudności. Wolno było korzystać z podręcznika i notatek! Wobec tego poszperałem w zbiorze przykładowych zadań w książce Stefanowskiego (z rozwiązaniami) i o dziwo, znalazłem tematycznie takie same zadania, tyle że o ile w książce były przykładowo dane parametry „a” i „b”, a szukane „c”, to asystent profesora ułatwił sobie pracę i zamiast wymyślić



Inauguracja roku akademickiego 1950/51

choćby inne liczby, to przepisał je dosłownie, zmieniając jedynie parametry miejscami: dane były „c” i „b” zaś szukane było „a”. Ponieważ z algebrą nigdy nie miałem kłopotów, zaliczyłem pisemny na czwórkę o czym dowiedziałem się na ustnym, który – wbrew opinii kolegów, którzy od 6 tygodni wspólnie zakuwali „Termę” i stwierdzili, że z tym co wiem nie mam szans na zdanie egzaminu – zdałem 26. czerwca 1951 również na czwórkę.

Rysunku Technicznego, Części Maszyn i Projektowania Części Maszyn uczył nas prof. Stefan Stępowski. Dzięki zadanemu ćwiczeniu domowemu, polegającego na zaprojektowaniu nitowanego walczaka, nauczyłem się korzystać z suwaka logarytmicznego i wygrałem wyścig z ojcem na wyliczenie wyniku ilorazu kilku iloczynów – on na piechotę a ja suwakiem.

Po ukończeniu drugiego roku studiów złożyłem w czerwcu 1951r., drogą służbową, w sekretariacie Rektora podanie adresowane do Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki z prośbą o wyrażenie zgody na przeniesienie w roku akademickim 1951/52 na Wydział Mechaniczno-Górnicy Politechniki Śląskiej w Gliwicach. Wobec braku takiej zgody (Jak się później dowiedziałem, Rektor w ogóle nie przesłał mojego podania do Warszawy), wystąpiłem 15. października do dziekana Pietrańca z prośbą o udzielenie mi urlopu dziekańskiego w roku akademickim 1951/52, który otrzymałem, jednak pod warunkiem zaliczenia czwartego semestru i uzyskania tzw. wpisu na semestr piąty.

Pamiętam, że ostatnim egzaminem, który musiałem jeszcze zaliczyć było właśnie projektowanie części maszyn u prof. Stępowskiego. Zadał mi kilka bardzo łatwych pytań w z zasad rysunku technicznego, a potem obaj skomentowaliśmy negatywnie fakt wprowadzenia w dniu 30. sierpnia 1951 - 6 lat po wojnie! - reglamentacji na wyroby mięsne w formie tzw. bonów mięsnych.

Egzamin ten zdawałem 22. października 1951, a już od 26. października do września 1952, w czasie całego urlopu dziekańskiego pracowałem w Fabryce Sprzętu Górniczego „MOJ” w Katowicach najpierw jako „chronometrażysta”, z pensją 472,50 zł na trzymiesięczny okres próbny, a po trzech miesiącach jako „starszy kalkulator” w dziale technologicznym z pensją 500.- zł. Dyrekcja zakładu wiedziała, że będę w październiku kontynuował studia i odejdę z pracy. Mimo to skierowała mnie od listopada 1951 na kurs kalkulatorów, odbywający się w godzinach pracy 3 razy w tygodniu w Fabryce Sprzętu Ratunkowego.



Jedynaczka

Jednocześnie, w tym samym okresie pracowałem w godzinach popołudniowych jako nauczyciel kontraktowy przedmiotów zawodowych

z Technologii Budowy Maszyn w dwóch klasach maturalnych w Technikum Hutniczym MPC Nr.1 w Katowicach. Zarówno praca w dziale technologicznym fabryki „MÓJ” jak i konieczność skrupulatnego przygotowywania się do wykładów w Technikum, ułatwiła mi znacznie późniejsze zaliczanie przedmiotów u prof. Leonida Samsonowa takich jak Technologia Obróbki Skrawaniem, Kalkulacja Warsztatowa i Przyrządy i Uchwyty tym bardziej, że prof. Samsonow posługiwał się m.in. tym samym podręcznikiem Mermona, którego całą zawartość przerobiłem w Technikum, a o czym profesor nie wiedział.

Ciekawostką jest, że dyrekcja fabryki MÓJ wyraziła na wniosek dyrektora Technikum zgodę na wcześniejsze opuszczanie przeze mnie pracy w każdy poniedziałek.

Na trzecim roku obok przedmiotów specjalizacyjnych było sporo tzw. przedmiotów „gadanych”, jak Ekonomia Polityczna (kapitalizmu i socjalizmu), Ekonomika Przemysłu i Ekonomika i Organizacja Pracy. Obowiązywał wówczas zwyczaj wywieszania przez poszczególne katedry list pytań, które będą wylosowywane przez studenta (po trzy pytania) po wejściu na egzamin (ustny). Następnie delikwent miał około 15 minut na przygotowanie się do odpowiedzi i mógł w tym celu usiąść kilka ławek dalej od stolika egzaminatora, który w tym czasie przepytywał poprzednika i robić sobie notatki w formie dyspozycji na kartce papieru.

Zastosowałem psychologiczny trick wobec egzaminatorów polegający na tym, że mając co prawda leżącą przed sobą kartkę A4 z wypunktowaną odpowiedzią na pytania, kiedy profesor po wylosowaniu pytań przez następnego studenta odwracał do mnie głowę, odsuwałem ostentacyjnie tę kartkę od siebie jak najdalej w



Jedynaczka po zajęciach warsztatowych

prawo w skos i patrząc egzaminatorowi prosto w oczy „jechałem z tym koksem”. W ten sposób zaliczyłem wszystkie te przedmioty na piątkę. Wszystkich nazwisk wykładowców tych przedmiotów niestety nie pamiętam, obie ekonomiki wykładał chyba mgr Miron Kołakowski, a ekonomię polityczną dr Bohdan Puczyński. Miał dużą okrągłą głowę i jemu jednemu daliśmy przydomek „Globus”. Fama nosiła, że usiłując zrozumieć teorię ekonomii politycznej socjalizmu włożonej w zalecanej nam książce Brusa i Porohille, musiał się rzekomo konsultować psychiatrycznie – ale może to były złe „antysocjalistyczne” plotki. Faktem natomiast jest, że kiedy usiłowaliśmy na ćwiczeniach dopytać się jak to jest z tym wyzyskiem robotnika przez kapitalistę, zakładając hipotetyczną sytuację, w której właściciel zakładu produkcyjnego pobierałby dla siebie mniejsze wynagrodzenie niż najniżej opłacany pracownik

– czy dalej byłby wyzyskiwaczem (?) - odpowiedź profesora brzmiała, że tak. Ale dlaczego? – na zasadzie definicji – brzmiała jego odpowiedź. No to byliśmy w domu.

Czas byłby poświęcić parę słów kolegom, z którymi łączyły mnie bliższe kontakty. Ze 161 studentów, którzy zaczęli studia w 1949 roku, zakończyło je w 1953 roku tylko 109. Część z nich przeniosła się na inne uczelnie, m.in. na Politechnikę Warszawską, kończąc tam specjalizację budowy samochodów. Część po prostu nie zaliczyła egzaminów i została powołana do wojska. Wśród tej liczby było sporo takich, którzy zbyt intensywnie poświęcili się grze w brydża w godzinach wykładowych, który to sport kwitł w pokojach akademika. Z Katowic dojeżdżali poza mną co tydzień na wykłady: Jerzy Kwiatkowski, Stanisław Głowiński, Jacek Maciejowski i Janek Horczyński. Poza nami, tym samym pociągiem dojeżdżało jeszcze dwóch kolegów z Sosnowca, Józef Trenda i Tadeusz Chmurkowski. Obaj mieszkali w akademiku i nie sposób opowiedzieć o tym, jak to już na drugim roku, kiedy do pokoju w którym m.in. mieszkali nasi Sosnowiczanie dokwaterowano studenta z pierwszego roku, o którym było wiadomo że jest członkiem partii i może ewentualnie donosić na nieprawomyślnych studentów. Trzeba wiedzieć, że pokoje były cztero- i sześciuosobowe z piętrowymi stalowymi łóżkami typu koszarowego. Wtedy to pewnego wieczora, obserwując bacznie potencjalnego donosiciela, Chmurkowski, liczący prawie 2 m wzrostu, rzekł prowokacyjnie głośno na cały pokój: „a wy mówcie co chcecie, ale mnie to się przed wojną lepiej powodziło!” a widząc reakcję nowego lokatora, dodał „bo przed wojną mogłem się przynajmniej wyciągnąć w łóżku na całą długość, a teraz nie mogę!”. Nazwisko ofiary tego żartu jest mi znane, ale „nomine sunt odiosa”. Jak przeczyta, to się domyśli.

Do naszej paczki katowiczian dołączyli jeszcze Ryszard Kościński z Poraja, Marian Kasperczyk z Rybnika i Jerzy Solon z Sanoka. Ten ostatni zdawał egzamin dyplomowy razem ze mną w roku 1954.

Mimo, że były to czasy głębokiego jeszcze stalinizmu, atmosfera w gronie studentów obu roczników, a szczególnie naszego, pierwszego zaciągu była swobodna. Pamiętam, że kiedy w któryś marcowy poniedziałek 1953 roku maszerowałem z dworca na uczelnię zwrócił się ze mną jeden z kolegów mieszkających w Częstochowie i powiada „słyszałeś nowinę? Pilot Franciszek Jarecki bryknął Migiem na Bornholm!”, nie kryjąc radości z tego powodu. Również 6. marca 1953 roku, kiedy mieliśmy przyjemność ujrzeć dawno wyczekiwany nekrolog na pierwszych stronach wszystkich gazet – z wyjątkiem Tygodnika Powszechnego, nie można



Rektor Kolakowski



było zobaczyć ani jednego zapłakanego studenta. Kiedy po wielu latach, pracując w Turoszowie dowiedziałem się od jednego z absolwentów Politechniki Wrocławskiej, że u nich wiele aktywistów ZMP – łącznie z nim – roniło autentyczne łzy z powodu śmierci Stalina, nie mogłem tego pojąć.

W pracy A. Gąsiorowskiego czytamy na str. 171, o sprowadzonych dla WSInż. zagranicznych nowoczesnych obrabiarek. Pamiętam, że jedna z nich – szlifierka do kół zębatach firmy MAAG – była tak wielka, że nie mieściła się w bramie i w celu jej wprowadzenia do hali obrabiarek, trzeba było wyburzyć część ściany zewnętrznej tej hali. Ta szlifierka ma dla mnie szczególne miejsce



Wejście do uczelni

w pamięci: W listopadzie 1952 r. zwrócił się do mnie mój kolega Jerzy Ślęczka, z którym studiowałem razem na I i II roku, a który właśnie pisał pracę dyplomową polegającą m. in. na uruchomieniu tejże szlifierki, z prośbą o pomoc w znalezieniu w niemieckojęzycznej instrukcji wskazówki, jak zwolnić hamulec stołu obrotowego obrabiarki wykonany w formie płaskownika opasającego stół i mającego chronić ten stół na czas transportu przed wymuszonym nagłym ruchem obrotowym, mogącym uszkodzić elementy jego napędu. Owszem, z instrukcji wynikało, że taki hamulec istnieje i że jest on zaciśnięty śrubą z nakrętką, którą należy zwolnić. Nigdzie jednak takiej nakrętki nie było widać! W czasie uważnego czytania instrukcji odkryłem uwagę wydrukowaną mniejszą czcionką, że do wspomnianej nakrętki można się bardzo łatwo dostać – po odkręceniu czterech wkrętów mocujących tabliczkę firmową!

Od sierpnia 1953 do lutego 1954 odbywałem w Śląsko-Dąbrowskiej Fabryce Urządzeń Mechanicznych w Dąbrowie Górniczej praktykę dyplomową i w tym czasie wykonałem też swoją pracę dyplomową na temat obróbki wykańczającej - „superfinisz”

Po naradzie wojennej z żoną zrezygnowałem z kontynuowania studiów magisterskich w Warszawie na które skierował mnie Rektor Kołakowski, mimo zagwarantowanego stypendium w wysokości 470.- zł. Nie czułem w sobie powołania do pracy naukowej – a do takich celów miało służyć według



Czolo pochodu 1 majowego 1951

ówczesnej ideologii kształcenie kadr magisterskich – a z tego co mi było wiadomo, zarobki absolwentów z tytułem magistra nie były z tego powodu wyższe.

Egzamin dyplomowy zdałem 8 lutego 1954r., otrzymując dyplom inżyniera mechanika Wydziału Budowy Maszyn w specjalizacji Obróbka Skrawaniem. (spec. T-1902).

Od 1 marca 1954r. do 30 września 1956r. pracowałem na podstawie otrzymanego nakazu pracy w Śląsko-Dąbrowskiej Fabryce Urządzeń Mechanicznych „DEFUM” w Dąbrowie Górniczej, kolejno jako: Kierownik zmianowy Wydziału Obróbki Lekkiej, Kierownik Organizacyjny Zakładu, inż. technolog do specjalnych poruczeń.

Razem ze mną otrzymali nakazy pracy do tej samej fabryki z pensją podstawową 900.- zł, jeszcze dwaj koledzy z roku: Leszek Kałat i Zenon Walkowski. Na miejscu zastaliśmy jeszcze jednego początkującego inżyniera mechanika Mirona Czyża oraz o rok starszego stażem absolwenta Politechniki Warszawskiej Janusza Zdzitowieckiego, który objął niejako nieformalną opiekę nad naszą młodszą grupą. Ja - mimo nazwy etatu – kierownik zmianowy, zawsze pracowałem na pierwszą zmianę, oswajając się z organizacją pracy wydziału. Leszek Kałat przydzielony został do działu Głównego Technologa, a Zenek Walkowski do Działu Konstruktoryjnego. Byliśmy wszyscy bacznie obserwowani przez kierowników wszystkich działów bo wszystkim było wiadomo, że wcześniej czy później zajmiemy ich stanowiska. To właśnie było powodem, dla którego nikt z nas nie otrzymywał od swoich bezpośrednich przełożonych żadnych konkretnych zadań do wykonania i przez parę miesięcy snuliśmy się z kąta w kąt.

Niedługo po naszym przybyciu przyszedł do pracy na stanowisku Głównego Inżyniera (z-cy Dyrektora ds. Technicznych) inż. Aleksander Pionkowski, przeniesiony przez Centralny Zarząd Obrabiarek do naszego zakładu z Warszawy, który mnie zainspirował do zorganizowania Koła Zakładowego SIMP. Mieszkałem w Katowicach



Wydział Włókienniczy w pochodzie 1 majowym

i codziennie dojeżdżałem do Dąbrowy Górniczej, więc skorzystałem z jego glejtu i dość często bywałem w Katowickim Oddziale SIMP, mieszczącego się w siedzibie NOT na ulicy Podgórznej. Przewodniczącym Zarządu Oddziału SIMP był wówczas inż. Twardowski, dyrektor techniczny Fabryki Kotłów w Sosnowcu. Nawiasem mówiąc dowiedziałem się od niego, że w Sosnowcu od lat wszystkie kotły są spawane, a technologia nitowania której uczył nas prof. Stępowski poszła już dawno do lamusa.

Wypada w skrócie opisać przebieg mojej pierwszej pracy w charakterze inżyniera. Wydział Obróbki Lekkiej był wyposażony w stosunkowo nowoczesny sprzęt maszynowy, zaintrygowała mnie zwłaszcza obrabiarka do stożkowych kół palloidalnych (zęby łukowe) firmy włoskiej Fiat Mammano. Wierciłem kierownikowi oddziału, który był młodym, bardzo zdolnym mistrzem tokarskim z dyplomem technika, dziury w brzuch dopytując się zasad teoretycznych ustawiania tej maszyny do pracy na podstawie dołączonych do instrukcji tabel. Odpowiedział szczerze, że tak jak go przedstawiciele serwisu włoskiego przyuczyli, tak tymi tabelami się posługuje, ale dlaczego tak i co by było gdyby były inne założenia, to już muszę się zwrócić do Włochów.

Nasza fabryka produkowała w tym czasie wytaczarki typu HWC i CWC oraz karuzelówki typu KN11. Warunkiem otrzymania premii produkcyjnej było wykonanie tzw. planu produkcyjnego na dany miesiąc, określonego w sztukach maszyn każdego typu – (od 30% za 100% planu w górę). Plagą organizacyjną było



Zespół taneczny w pochodzie 1 majowym

nienadążanie z dostawą gotowych, obrobionych i odebranych przez kontrolę techniczną części składowych przez wydziały obróbki, co skutkowało na wydziale montażu najpierw przestojami a następnie godzinami nadliczbowymi w ostatnim tygodniu miesiąca. W celu jako-takiego zapanowania nad tym chaosem, Główny Inżynier organizował w swoim gabinecie od drugiej połowy miesiąca narady produkcyjne z udziałem kierowników wszystkich wydziałów, na których dział montażu przedstawiał listy brakujących części i ostateczny termin ich otrzymania. Listy te otrzymywali kierownicy wydziałów obróbki i wtedy zaczynał się comiesięczny cyrk z ustalaniem miejsca pobytu (tak!) tych części i przyśpieszaniem ich cyklu technologicznego na warsztacie. W tak zwanym magazynie międzyoperacyjnym leżały bez ładu i składu na półkach części z tzw. przywieszkami lub bez nich i za wyjątkiem jednego człowieka, którym był wieloletni kierownik zmianowy Szoltyś, nikt się w tym bałaganie nie orientował. Znał on bowiem na pamięć nazwy, nr rysunku i wymiary wszystkich części składowych każdej obrabiarki, oraz ich miejsce usytuowania na wiszącym na ścianie magazynku rysunku zestawieniowym. Brał do ręki dany detal i potrafił wskazać jego umiejscowienie i na którym wałku. Jeżeli średnice zewnętrzne były jednakowe, to brał suwmiarkę i po zmierzeniu średnicy wewnętrznej identyfikował nr rysunku oraz ile jeszcze operacji obróbczych dany detal musi przejść. Takiej wiedzy nie miał nawet kierownik oddziału Kopydłowski, który nieraz był

zmuszony ściągać Szołtysika z urlopu bo sam nie mógł się połapać gdzie znaleźć brakującą do montażu część!

Z tego powodu zaproponowałem kierownikowi oddziału, że wspólnie z niedawno przyjętym do pracy technikiem opracujemy zasady planowego kierowania seriami poszczególnych detali od momentu pobrania ich z magazynu surowców w formie odkuwek, odlewów bądź z krajalni materiałów walcowanych aż do



Zespół taneczny w pochodzie 1 majowym (z tyłu)

magazynu półfabrykatów, gotowych do pobrania ich przez wydział montażu. W tym celu musieliśmy ustalić dla każdej części czas przebywania na kolejnych obrabiarkach w oparciu o plany operacyjne, zadane normy techniczne i znane ze statystyki działu technologicznego %% tzw. wyrobienia normy. Następnie wyznaczyć kalendarzowy obieg tych części przez konkretne obrabiarki z uwzględnieniem czasu na transport międzyoperacyjny i ew. przerwę na pobyt w magazynie międzyoperacyjnym. Całość nie była moim wymysłem, lecz polegała na wykorzystaniu moich doświadczeń z pracy w fabryce MOJ, gdzie brałem udział we wprowadzaniu właśnie takiego planowania warsztatowego przy pomocy tzw. wykresów Gantta.

W następnym miesiącu można by zacząć wprowadzać nowy system planowania warsztatowego gdyby nie to, że po kolejnej operatywce u Głównego Inżyniera kierownik Kopydłowski rozdał po kilka kartek z listą brakujących do montażu części każdemu z nas, to znaczy Szołtysikowi, mnie i naszemu technikowi z poleceniem odszukania tych części na wydziale i przyspieszenia ich spływu na montaż. Oznaczało to przerwanie pracy nad będącym na ukończeniu systemem planowania produkcji na naszym oddziale. W tej sytuacji grzecznie ale stanowczo odmówiłem przyjęcia do realizacji przeznaczonego dla mnie wykazu części.

Kierownik oddziału przyjął to spokojnie i nie nalegał. Sam z siebie nie złożył też skargi na mnie u dyrektora i dopiero kiedy w czasie następnej operatywki został obrugany przez Głównego Inżyniera za słaby spływ części wypominając mu, że ma przecież do pomocy trzech pracowników technicznych, czuł się zmuszony bronić mówiąc, że tylko dwóch, bo inżynier Brożek odmówił współpracy. No i zrobiła się afera na szczeblu dyrekcyjnym.



Zbiórka przed pochodem 1 majowym

Dowiedziałem się potem, że do konsultacji doproszono wspomnianego już inżyniera Zdzitowieckiego, wynikiem czego było wezwanie mnie na rozmowę z dyrektorem zakładu. Dyrektor Stanisław Kotuła przedstawił mi propozycję objęcia stanowiska kierownika organizacyjnego, podlegającego bezpośrednio tylko jemu. Dodał, że mnie rozumie i po to właśnie złożył w ministerstwie zapotrzebowanie na absolwentów o specjalizacji technologicznej, żeby podnieść status techniczny przedsiębiorstwa i gdyby to był każdy inny oddział, na przykład obróbka ciężka albo montaż to nie zawahałby się ani chwili i wymienił kierownictwo tego oddziału na mnie, ale pan Kopydłowski jest najlepszym kierownikiem ze wszystkich i ma szansę na dalszy rozwój. W tym punkcie przyznałem mu rację, ale zgłosiłem zastrzeżenie, że na proponowanym mi stanowisku wyobcuję się zawodowo. Na to dyrektor, że to mi nie grozi – przeciwnie zapoznam się z całą strukturą zarządzania przedsiębiorstwem niejako z lotu ptaka, pomogę mu przez czas jakiś w usprawnianiu jego organizacji a potem będę mógł sobie wybrać jakiś dział techniczny, którego zostanę kierownikiem. Ponadto liczy na to, że jako inżynier pochodzący z ruchu znajdę szybciej wspólny język pozostałej kadry kierowniczą zakładu niż dwaj poprzedni pracownicy na tym samym stanowisku, z których jeden był ekonomistą a drugi prawnikiem i obaj narazili się na swoimi pomysłami na uśmiechy i drwiny ze strony ruchowców.

1. września 1954, po 6 miesiącach pracy w produkcji powierzono mi stanowisko p.o. st. Ekonomisty Referatu Organizacji z uposażeniem miesięcznym 1.000.- zł + premia produkcyjna grupa III. Otrzymałem samodzielny pokój obok pokoju dyrektora, który mógł przez drzwi łączące nasze pokoje wejść po otwarciu ich kluczem z jego strony, z czego rzadko korzystał. Częściej wzywał do siebie przez jedną z dwóch sekretarek, które pracowały na dwie zmiany, ponieważ często siedział do późnego wieczora w pracy.

Przewidywania dyrektora sprawdziły się. Wszystkie pisemne zarządzenia z jednostki nadrzędnej, jakie w tamtym czasie nakazowo-rozdzielczego zarządzania przemysłem dość obficie spływały na naszego zakład, przetwarzałem na zarządzenia dyrekcyjne, przy czym uzgadniałem je ze wszystkimi zainteresowanymi komórkami produkcyjnymi, żeby były w miarę strawne i możliwe do realizacji. Na prośbę Głównego Inżyniera pomagałem też kierownikowi komórki racjonalizacji i technikowi szkolenia zakładowego w realizacji ich zadań.

Ze współpracy z Technikiem Szkolenia Zawodowego odniosłem taką korzyść, że kiedy Zjednoczenie Przemysłu Obrabiarek poleciło dokonać przeszkolenia wszystkich osób kadry technicznej ruchu, t.j. kierowników działów produkcyjnych, mistrzów i brygadzystów z zakresu

BHiP według przekazanego programu, zaproponowano mi przeprowadzenia tego szkolenia w godzinach od 1400 do 1600 za stosownym, comiesięcznym dodatkowym wynagrodzeniem.

W czasie szesnastu miesięcy pełnienia funkcji kierownika organizacyjnego zakładu starałem się w miarę możliwości stawiać rzeczy na nogach, współpracując ściśle z Głównym Księgowym, i kierownikami działów Planowania oraz Zatrudnienia i Płac oraz oczywiście z Głównym Inżynierem, będącym pierwszym zastępcą dyrektora. Zaabonowałem na własny koszt wydawane akurat wówczas przez NOT zeszyty pod tytułem „CO TECHNIK O PRAWIE WIEDZIEĆ POWINIEN”. Szczególnie interesujące były komentarze do przepisów Prawa Pracy. Niestety, po kilku miesiącach stwierdziłem, że sporo omawianych w tych zeszytach aktów normatywnych jest już nieaktualnych i zastąpionych nowymi regulacjami, o których powziąłem wiedzę z tytułu obowiązkowej lektury wszystkich otrzymywanych przez zakład Monitorów i Dzienników Ustaw. Dlatego zrezygnowałem z dalszego abonamentu tego składającego dobrze pomyślanego cyklu wydawniczego.

Mimo mojej koncyliacyjności nie obeszło się jednak w tak długim czasie bez kilku konfliktów w czasie prac różnych komisji powoływanych przez dyrektora na polecenie Zjednoczenia którym na ogół przewodniczył Główny Inżynier a ja pełniłem funkcję sekretarza. Powodem był fakt, że dyrektor zakładu powiedział mi żebym pamiętał, że w tych komisjach reprezentuję dyrektora i jeśli jestem innego zdania niż Główny Inżynier, żebym – po uzgodnieniu tego z Nim - dawał temu na posiedzeniach komisji wyraz.

Zrozumiałem również, co to znaczy być „pupilem” naczelnego wodza danej instytucji po jego odwołaniu i po zastąpieniu go innym wodzem. Pod koniec roku 1955 dyrektorem zakładu został Marian Kuchta. W porozumieniu z Kierownikiem Działu Planowania, w którego to dziale formalnie był zlokalizowany mój etat w schemacie organizacyjnym, zostałem z dniem 1.stycznia 1956 przeniesiony do działu Głównego Technologa w charakterze inżyniera technologa. Warunki płacowe zostały bez zmian (1.000,00 zł brutto). Jako technolog nie napracowałem się długo, bo po dwóch tygodniach zostałem wezwany do Głównego Inżyniera, gdzie oprócz Głównego Mechanika był jeszcze przedstawiciel Urzędu Dozoru Technicznego, który po przeprowadzonej kontroli wszystkich suwnic i dźwignic zmniejszył dopuszczalną wielkość udźwigu o połowę, a na najmniejszej, półtonowej kazał wymalować wielkie zero! Moje zadanie miało od dziś polegać na sporządzeniu odtworzeniowej rysunkowej inwentaryzacji wszystkich suwnic według wytycznych Biura Projektowego, na podstawie której – dopiero po przeprowadzeniu remontu kapitalnego – poszczególne suwnice odzyskałyby swój pierwotny dopuszczalny udźwig. Do końca lipca wykonałem komplet rysunków inwentaryzacyjnych dla dwóch suwnic, i na tym moja działalność w Fabryce

Urządzeń Mechanicznych w Dąbrowie Górniczej się zakończyła, bo po sierpniowym urlopie zostałem 1. października 1951 r. przekazany do pracy w górnictwie węglowym na podstawie UCHWAŁY Nr 292/56 Prezydium Rządu z dnia 16 czerwca 1956 r, ponieważ zostałem przyjęty na specjalistyczne studia górnicze na Wydziale Górniczym Politechniki Śląskiej w Gliwicach. W kwietniu 1959 r. uzyskałem absolutorium, a w dniu 8 kwietnia 1959 r. dyplom inżyniera górnika ze specjalizacją podziemna eksploatacja złóż.

Minister Górnictwa Węglowego oferował dla każdego uczestnika studium na okres nauki stypendium w wysokości średniego zarobku miesięcznego netto pobieranego przezeń w ostatnim miejscu pracy w ostatnich 6 miesiącach nie mniej jednak jak 2.000.- zł miesięcznie. Stypendium to było wolne od podatku od wynagrodzeń.

Dzisiaj jestem bardzo zadowolony z podjętej wówczas decyzji, mimo że była podyktowana głównie możliwością skokowego polepszenia warunków płacowych o 100% przy jednocześnie komfortowych warunkach uzyskania drugiego fakultetu inżynierskiego w zawodzie wówczas zarówno społecznie jak i merkantylnie tak wysoko cenionym.

Na koniec nie sposób nie wspomnieć jednego z moich najserdeczniejszych kolegów – Dionizego Grochowskiego, który znalazł się w grupie wyróżnionych absolwentów promowanych w marcu 1953, wymienionych na stronie 198 wspomnianej już pracy Aleksandra Gąsiorskiego, a znanego nam wszystkim z tego, że na śniadanie rozwiązywał kilka równań różniczkowych, a na obiad kilka podwójnych całek...

Poza Dyziem Grochowskim na tym Studium Specjalistycznym znalazł się jeszcze jeden absolwent Szkoły Inżynierskiej, a mianowicie Jerzy Borowicz, który ukończył studia w tym samym roku co ja – w 1954. Trzymaliśmy się jednej paczki i dlatego zaliczeniu studiów górniczych Dyziu porwał nas i jeszcze dwóch innych absolwentów w maju 1958 roku do Bolesławca, gdzie jak się okazało wygrał konkurs na stanowisko Dyrektora rozpisany przez Radę Pracowniczą Bolesławieckich Kopalń Surowców Mineralnych i dostał „cart blanche” na wymianę kadry kierowniczej. Dyziu mianował mnie kierownikiem działu inwestycji i miałem widoki na nominację na z-cę dyrektora ds. inwestycji, ale upomniał się o mnie resort Górnictwa i nie chcąc zwracać otrzymywanego stypendium, po roku podjąłem pracę w Kombinacie TURÓW w budowie, wymigując się w ten sposób od pierwotnie otrzymanego skierowania do pracy w kopalni węgla kamiennego na Górnym Śląsku. Dyziu natomiast postanowił zwracać w ratach pobrane stypendium, ale dalej rozbudowywać BKSM. Jerzy Borowicz też po roku przeszedł do Górnictwa Węglowego. Moje ostatnie z nim spotkanie miało miejsce gdzieś w latach 60-tych, pracował wtedy w Okręgowym Urzędzie Górniczym we Wrocławiu. Niestety po kilku latach dowiedziałem się, że zmarł na zawał serca.

Jak już wspomniałem nie chciałem zwracać stypendium pobranego w czasie górniczego studium specjalistycznego, i dlatego po roku pracy w BKSM zatrudniłem się w Kombinacie Górniczo-Energetycznym TURÓW w budowie, gdzie przez 5 lat nadzorowałem i koordynowałem wszystkie górnicze, inżynieryjno-lądowe i energomaszynowe roboty inwestycyjne aż do przekazania całej inwestycji do eksploatacji. Największym wyzwaniem inżynierskim była budowa - jedynej w Polsce w dyluwium - szybu centralnego odwodnienia kopalni o średnicy 4,2 m i głębokości 230 mb systemem mrożenia górotworu aż do komisyjnego przekazania obiektu do eksploatacji i dopuszczenia urządzenia wyciągowego do ruchu przez Okręgowy Urząd Górniczy we Wrocławiu.

Po dalszych 10 latach pracy w KWB TURÓW na stanowisku kierownika działu Postępu Technicznego i Wynałazczości znudziła mnie jednostajność zajęcia i ruszyłem "w kurs" dalszych przygód inwestycyjnych; budowałem i rozbudowywałem Zakłady Stalarki Budowlanej w Zielonce k/Węglińca, i w Ciechanowie. Potem przenieśliem się do Generalnej Dyrekcji Budowy Bełchatowskiego Okręgu Przemysłowego, następnie do Wojewódzkiej Spółdzielni Mieszkaniowej w Ostrołęce, gdzie jako Dyrektor Zakładu Obsługi Inwestycji "budowałem" bloki mieszkalne z tzw. Wielkiej Płyty. Jak się napatrzyłem na tą fuszerkę ówczesnego Ministra Budownictwa, pana Glazura, skorzystałem z okazji odwilży po zalegalizowaniu pierwszej Solidarności i przenieśliem się w 1980 r. do Najwyższej Izby Kontroli gdzie przepracowałem 5 lat. Od roku 1985 rzuciłem pracę państwową i zatrudniłem się dzięki protekcji mojego Taty w biurze informacji technicznej austriackiej firmie pomp i sprzężarek OCHSNER w Warszawie. (Tata w tej firmie pracował przed wojną w Bielsku-Białej).

Na koniec chciałbym podkreślić, że uważam się za dziecko szczęścia, ponieważ zawsze udawało mi się spadać na cztery łapy. Zawsze potrafiłem znaleźć złoty środek między przeciwnościami, czy to rzeczowymi, czy mentalnymi. Uważam, że w czasie mojego zawodowego, „socjalistycznego” PRL-u, stosowałem konsekwentnie amerykańskie, kapitalistyczne zasady organizacji własnej kariery, tzn. zmieniałem bez wahania pracodawcę i miejsce pracy, jeśli dotychczasowy status (niekoniecznie materialny) zaczął mi doskwierać.

Wspomnienia te dedykuję wszystkim swoim profesorom i kolegom, którzy już przeszli na drugą stronę Styksu.

Mój śp. Ojciec opowiedział mi kiedyś, jak to po wręczeniu dyplomów ukończenia Państwowej Szkoły Przemysłowej w Bielsku w 1924 roku, ówczesny dyrektor szkoły przemówił do absolwentów w te słowa: „A teraz moi Panowie idźcie do pracy w przemyśle, zapomnijcie o tym czego się tutaj nauczyliście i uczcie się od nowa”. Ja też musiałem się wielu



rzeczy nauczyć od nowa, ale nigdy nie zapomniałem tego, czego się nauczyłem na studiach w naszej Alma Mater a w krytycznych sytuacjach zawsze przynajmniej wiedziałem w jakiej książce szukać odpowiedzi oraz „gdzie ta książka stoi”.